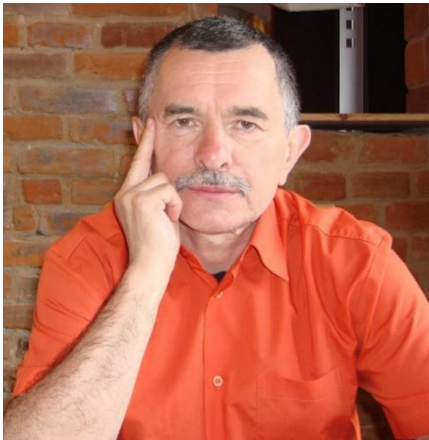


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (79)

(fragmenty)



Jak ogromne wrażenie robiły na mnie zawsze te obrazy niech zaświadczy napisany przeze mnie przed laty wiersz „Nad malarstwem van Gogha”.

na obrazach szalonego malarza
każda kreska
punkt
przedmiot
przekrzykują się
z każdą kreską
punktem przedmiotem
że są
najważniejsze
pod słońcem

i on
krzyczał
żeby mu dali
punkt oparcia
a dźwięnie z posad bryłę świata

nie dali
od urodzenia
cierpiał na zaburzenie równowagi malując
przyjmował jak Bóg
wszystkie punkty widzenia
naraz

...Na parterze oprócz dzieł z pierwszego, holenderskiego, tak zwanego szarego okresu malarza – a więc portretów wieśniaków i pejzaży między innymi z Nuenen – płótna głównie francuskich mistrzów, na przykład Milleta, mających wpływ na kształtowanie się warsztatu i rozwój wyobraźni Vincenta. A więc nic nie powstaje ot tak z niczego, nawet geniusz posiłkował się na początku tradycją i miał swoich mistrzów!

Potem – pniemy się na wyższe piętro i przebijamy się wraz z obrazami autora przez tunel mroku ku światłu i sadom Prowansji. To następny etap jego życia. Gdyby streszczać

życie malarza w telegraficznym skrócie, określiłbym je jako ucieczkę z ciemnej Północnej Krainy, od wiejących z Morza Północnego wiatrów, na Południe – ku światłu. Obrazy z Arles, prawie sielskie, nabierają specyficznej dla van Gogha intensywności kolorystycznej...

Ale również interesujący, owocujący prawdziwymi arcydziełami jest ostatni okres naznaczony chorobą psychiczną, z czasów jego pobytu w szpitalu w Saint-Remy-de-Provence i w Auvers, gdzie się zastrzelił. Dwa bieguny: euforyczny i schizofreniczny wydają się dwiema szalami tej samej wagi duchowej. Ceną zapłaconą za euforię okazała się po latach zapaść psychiczna.

Największe wrażenie zrobiły na mnie „Kwitający sad z widokiem na Arles” w tonacji różowo-brzoskwiowej (euforyczne) i „Pole pszeniczne z krukami”, które w istocie są wronami albo gawronami, bo kruki przecież nie występują w stadach, żyją w samotnych parach dobranych raz na całe życie. To arcydzieło uważane jest za jedno z ostatnich, testamentowych dzieł malarza. Złotobrózowe łany dojrzałego zboża-życia, symbolizujące piękno, urodę, boską wolę trwania i... dramatycznie skłębione ciemne chmury z czarnymi „krukami”, symbolizującymi przemijanie i śmierć – szczipione z sobą w jednym kosmicznym tańcu żywiołów. Walka życia i śmierci, ekscytacji i cierpienia to jakby dotknięcie rozżarzonej jaźni malarza. Wola życia i wola tworzenia walczą z chorobą psychiczną i cierpieniem. Najwyższa skala przeżycia! Tu wyraźnie widać, czym van Gogh różni się od współczesnych mu impresjonistów i czym ich przewyższa. Często bywa do nich błędnie zaliczany, ale tak naprawdę przekroczył ramy impresjonizmu, wyszedł poza konwencje epoki, był bytem odrębnym, zjawiskiem całkowicie oryginalnym. Nie liczyły się dla niego mody, techniczne dyskursy i neoakademickie spory, ale sztuka jako przejaw uczuć metafizycznych, wyrażanych za pomocą malarstwa, podczas gdy impresjoniści realizowali program kontestujący przeszły realizm czy raczej akademizm klasyczny. Malarstwo dla nich to gra plam, kresek, kolorów, popis warsztatowy, technika, zabawa, mieszcząca się w nowo odkrytej konwencji. Van Gogh w swoich najlepszych obrazach (bo miewał też obrazy niewychodzące poza poprawność impresjonistyczną) wkłada palec w ranę duszy, dotyka bólu, cierpienia, szaleństwa, ciemnych żywiołów w człowieku; daje z siebie wszystko!

Nie był tak jednorodny jak malujący mało Vermeer. Malarz z Delft naznaczał niepowtarzalnym piętnem swego stylu każde płótno i jest rozpoznawalny w każdym z nich, nie zmieniając stylu, może dlatego, że tak mało namalował, podobnie jak rozpoznawalny i jednorodny jest Rimbaud, autor kilkudziesięciu wierszy, nawet zapowiadających wybitny talent, którego jednak trudno zestawiać z poetami rozwijającymi się latami.

Van Gogh rozchwiany stylistycznie z początku ulega różnym wpływom, nawet malarzy japońskich. Konkretnie chodzi tu o drzeworyty, między innymi Hokusai; japońskie i chińskie drzeworyty były wtedy nieprawdopodobnie rozpowszechnione, szczególnie w

portowych miastach Niderlandów, i wywierały ogromny wpływ głównie na impresjonistów.

O ile Vermeer panuje nad żywiołami, wstrzymuje ruch, sprawia, iż wszystko zastęga w wieczności, w ciszy, w ukojeniu (vide – obraz „Widok Delft”), to van Gogh, artysta wewnętrznego niepokoju, odwrotnie – dynamizuje przyrodę, krajobraz, wprawia w ruch, w życie szalonym wiatrem, który jest ukryty i uśpiony, choć podskórnie wyczuwalny w wielu jego obrazach. Nawet jego kompozycje statyczne, takie jak „Łan zboża z cyprysami”, „Droga z cyprysem i gwiazda”, czy „Kościół w Auvers” – pełne są dynamiki, jakby obraz się ruszał, a świat chciał wyskoczyć z formy, z ram, rozsadzany wewnętrzną energią, podobnie nieco jak innego Niderlandczyka – Rembrandta...

Może dlatego, gdy wylądowałem na powrót w moim wakacyjnym Borzęcinie i siedziałem na progu domu, wsłuchując się w wieczorny, niespokojny poszum drzew, wyskoczył mi z głowy poemacik o wietrze – van Goghu. Cytuję fragmenty:

Ostatnia nocna rozmowa Vincenta z wiatrem w Auvers

jest w tobie ten sam
niepokój
co we mnie

gdy wprawiasz w drżenie
sady oliwkowe w Arles
gdy wprawiasz w ruch Czas
czyniąc przemijanie

gdy gnasz po niebie obłoki
i stateczki w Hadze
stałe w pogoni
jakbyś nie umiał znaleźć dla siebie
zacisznego portu
i nigdzie nie czuł się
do końca swój

przybłądo z obcych stron (...)

nie da się ciebie oswoić
ani ujarzmić
wymykasz się każdej definicji
stałe biegną przed tobą
twoje rozbiegane myśli
których nie potrafisz dopędzić
miotający mną i wierzchołkami drzew
w czasie bezsennych nocy
wrywający z serca
cumy i kotwice
niepozwalający odpocząć po burzach

c.d.n.

